ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. **Niedziela 1 lipca 1934 r.** **Nr. 27**

L. Całkosińska

O kompromisowej sztuce życia

I w stosunku do szczęścia istnieje zachowawczy instynkt".

Fr. Mauriac

Zaopatrując w motto Mauriac'a ostatnią swą powieść „L'Instinct du Bonheur", Maurois dopuszcza się, że tak powiem — perwersji. Rozwija, uzasadnia, zasłania się tezą wielkiego moralisty, sam amoralny. Bo przecież pomiędzy Mauriac'iem jansenistą, ujmującym z iście ibsenowską bezwzględnością kwestję sumień ludzkich, i oportunistą Maurois, niema cienia wspólnoty.

Trudno o jaskrawszy przykład kompromisowej sztuki życia, od „Instynktu Szczęścia". Powieść ta stanowi niejako etap w twórczości Maurois. Nie dlatego, aby była lepsza od poprzednich. Przeciwnie, jest gorsza. Ani tło; (prowincja Perigord, życie ziemiaństwa zacofanego, pełnego konwenansu i czci dla bogactwa), ani coups de théâtre następujące po sobie w formie zwierzeń rodziny Romilly, nie należą do najszczęśliwiej wybranych. To, co wyróżnia tę powieść, to nowa postawa autora. Broniąc tezy, porzuca dotychczasową rolę biernego obserwatora, angażuje się moralnie, wyznaje swój światopogląd, a tem samem wydaje się w ręce opinji.

Nikt już nie zarzuca mu neutralności; Zwolennicy, nie obronią go przed zarzutem amoralności twierdzeniem, że biografowi nie przystoi być ani sędzią, ani adwokatem, lecz sprawozdawcą. Nie, Maurois dowiódł, że jest taki jak jego epoka: kompromisowy, idący po linji najsłabszego oporu, niezdolny do jakiegokolwiek aktu wiary. I w tem tkwi tajemnica jego powodzenia. Gdyby nie to, czy choć taki „Krąg rodzinny" nie wywołałby burzy protestów? Czy rewolucyjna Denise, niezdolna wyciągnąć z własnej młodości wniosków, stałaby się bohaterką postępowej kobiecości?

Maurois i jego współcześni dają się trwać w obronnej pozycji przeciw dwom pokoleniom sprzymierzonym przeciw nim. Sędziwa starość i buntownicza młodość podają sobie ponad ich głowami ręce. Obie bezkompromisowe, obie pełne zasad, obie dogmatyczne. Jednako patrzą na grzech ciała, namiętności, grzech słabości. Z tą różnicą, że podczas gdy starość pozostaje sobie wierną, młodość z utratą niewinności opuszcza pozycję. Skolei wkracza na arenę tego uproszczonego życia, lawiruje wśród konfliktów, zadawalnia się okruchami i namiastką uczuć, zadając sobie podobnie jak Denise pytanie: „I jakże bezużytecznie walczyłam z ideami! Jakże bezwzględnie sądziłam życie! Przecież moje układa się podobnie". To młodość pełna buntu stwarza niepotrzebne konflikty!

Klasycznym nieomal przykładem tego światopoglądu jest „L'instinct du Bonheur". Autor, przenosi mieszkańca znanego nam z Pont de l'Eure do Perigord. Gaston Romilly, na skutek rodzinnych nieporozumień opuszcza przemysł włókienniczy i osiada na roli. Przychylność wszechwładnej kasztelanki pani de La Guichardie, bogactwo, bezprzykładne wręcz wzorowe pożycie małżeńskie, jednają mu szacunek i ułatwiają asymilację. Ukoronowaniem powodzenia są zaręczyny córki Colette z synem najpoważniejszego z obywateli. Ale właśnie ten fakt narusza bezpieczeństwo i spokój Romillych. Na powiernicę wybierają potężną panią de la Guichardie. Przybywszy do Perigord nie wtajemniczyli nikogo w fakt, że Colette urodziła się na pięć lat przed ich ślubem. Z winy oporu rodziny Romilly'ego, z winy przeróżnych przeszkód. Dziś nie tylko rodzina narzeczonego, nie tylko okolica — lecz sama Colette dowie się prawdy.

Staruszka wzruszona zaufaniem, pomna burzliwej młodości podejmuje się misji. Matkę narzeczonego przekonywuje argumentami religijnemi (ileż cynizmu jest w tej scenie, w której konwencjonalną wiarę bigotki pokonywuje rutyna i pochlebstwo), ojca — groźbą i pokusą bogactwa. Największą niespodziankę przynosi jej sama Colette. Zna „tajemnicę" od wczesnego dzieciństwa, powierzyla ją i narzeczonemu. „Jakież to romantyczne — mówią młodzi — i pocóż to skomplikowane zatajanie prawdy".

Na pozór, nic już nie stoi na przeszkodzie. Ale widać nie danem jest odpocząć starej kasztelance, bo oto zjawia się Walentyna — ze stokroć poważniejszem wyznaniem. Colette, córka ich, ma innego ojca. Valentine walcząc o byt, w Paryżu przyjęła opiekę bogatego przemysłowca. Pokochawszy Gastona — zerwała z nim. Dziś umierając zapisał Colette miljonowy majątek. Prawo nie pozwala rezygnować w imieniu niepełnoletnich, a jeśli nawet, to żąda zgody ojca. Gaston dowie się prawdy. Jego jednego kochała, — raz tylko popełniła kłamstwo. Niestety, żyło ono pod postacią córki. Valentine przeszła męki niepewności i obawy. Nie miała wyrzutów sumienia, nie miała poczucia winy, prawie że zapomniała. Ale lęka się kary. Lęka się bólu, jaki zada mężowi. Bez protestu przyjmie jego wyrok: „mężczyzni są tacy pyszni, być może, że urażona duma pokona miłość".

Raz jeszcze podejmuje się staruszka parlamentowania, — i raz jeszcze doznaje wstrząsu. Gaston od 15 lat znał pochodzenie córki. Ludzie nie oszczędzali go, dostarczając dowodów. Cierpiał, wątpił, a gdy uzyskał ostateczny „dowód prawdy", zbyt mocno kochał obie istoty, by je porzucić. Colette jest jego duchową córką. Jeżeli milczał, to poto, by oszczędzić wstydu żonie. Jeżeli pragnął o tem mówić, to jedynie, by usunąć jej obawę i cień kłamstwa. Nie żąda tłumaczeń. Być może, że to tchórzliwe i podłe, ale lęka się utraty szczęścia, — lękał się o nie stale. Dla kogo grać teraz scenę wykrycia, poco poruszać uśpione źródła niepokoju? Większość moralnych cierpień trwa dlatego, że mamy słowa na wyrażenie ich. Raz zaczęta dyskusja trwałaby do końca życia. Niechże Walentyna zastosuje się do jego żądania i nie porusza tej sprawy. Oto prosi — tego żąda za pośrednictwem pani de La Guichardie.

Warunek zostaje przyjęty. Gaston patrzy na ukochane istoty myśląc: „Jedno słowo, jeden odruch dumy i byłbym je utracił"... Valentine pełna wdzięczności rozważa: jakiż on dobry i dzielny, wolał się ośmieszać, niż zdradzić znajomość sekretu. Ani jednej wymówki przez te wszystkie lata! Co to za ulga, wiedzieć, że ta walka się skończyła! I są szczęśliwi.

Ileż wysiłku, ile trwogi wkładają ci biedni ludzie w to, co określają mianem szczęścia! Jeżeli można wierzyć autorowi, szlachetni i subtelni zadawalają się strzępkiem życia, nie opartym ani na wzajemnej szczerości, ani prawdzie, ani pełni uczuć. Maurois traktuje ich z właściwą sobie wyrozumiałością; z właściwą obojętności dla kwestji etyki czy moralności. Walentyna nie odczuwa nic z tego, co było udziałem tylu jej poprzedniczek, tych, które „grzeszyły w smutku, a pokutowały w radości". Lidie (z „La petite paraisse" Daudet'a), czy Therese Bordeaux — nie znajdą w niej siostry. Walentyna nie odczuwała ani wstydu, ani potrzeby pokuty, ani spowiedzi związanej z pojęciem doskonałej ekspiacji. Przeciwnie, domagając się interwencji przyjaciółki mówi: „Trudno, to silniejsze ode mnie, nie mogę im o tem powiedzieć. Przecież jestem dziś, dla nich kimś innym, niż ta, która grzeszyła". Ten brak jakiegokolwiek poczucia odpowiedzialności, ten rys przeciwny kulturze romańskiej i chrześcijańskiej tradycji, domagającej się oczyszczenia, jest może najcharakterystyczniejszy dla autora. Maurois może mieć zaszczytną kartę w literaturze francuskiej; pisarzem chrześcijańskim nigdy nie będzie. A jego bohaterowie pozbawieni nadprzyrodzonego pierwiastka — muszą poprzestawać na tem, co jest w człowieku najułomniejsze.

Krytyka francuska bierze go w obronę uważając, że Maurois jest bez winy „Modele wiernie sportretowane, czasy i prądy nurtujące społeczeństwo obwiniajcie"! Jeśli tak jest, to wynik prowincjonalnego plebiscytu literackiego— jaki miał niedawno miejsce — jest logiczny. Bowiem gdy Bordeaux uzyskał głosy starszego pokolenia, — rówieśnicy dali pierwszeństwo A. Maurois, a młodsi podzielili się na zwolenników rewolucyjnego Malroux i Fr. Mauriac'a, który, jak zaznacza jedna z czytelniczek „tak nielitościwie dręczy sumienie ludzkie". Właśnie to, którego brak Walentynom i Denisom.

Jerzy Konopacki

Ród talentów

Jeden genjusz i pięćdziesięciu ludzi talentu — oto zupełnie wyjątkowy plon rodu Bonaparte.

Gaśnie wielki ród intelektualistów. Ostatni, dziś trzydziestoletni męski przedstawiciel cesarskiego nazwiska, książe Napoleon, syn ks. Wiktora i Klementyny, królewny belgijskiej, przeżywa dotąd szare dla siebie dnie w zamku Ronclunne w Belgji. O jego zamiłowaniach nam niewiadomo; do ostatniego pokolenia byli jednak w tej rodzinie ludzie talentu i rozległej wiedzy.

„Przegląd studjów napoleońskich" wydawany obecnie w Paryżu przez prof. Driault i „Tow. Przyjaciół Napoleona", którego członkami są m. in.: Edward hr. Krasiński, gen. Kukiel i ambasador Chłapowski, podaje nowocześnie naukowo opracowaną genealogję Bonapartych, których przodkiem, początkującym nieprzerwany bieg pokoleń, był Janfaldo, żyjący przed 1235 r.; nazwisko pojawia się w aktach od 1178 r., a wywodzi się ze szczepu Tedixa, udzielnie władającego na Pistoi w roku dziewięćsetnym.

Linja Cesarea, w wiekach średnich, mieszkała we Florencji i w m. Sarzane; wyróżnił się z niej Jan, wojownik w armji Fabricego Colonny, gubernator w Marino w 1496 r.; syn jego, Franciszek, pierwszy z Bonapartych osiadł na Korsyce, gdzie wszyscy jego potomkowie byli wybierani do t. zw. Rady Starszych i mieli przyznany wysoki tytuł: „Messire". W przeciągu stulecia, poprzedzającego koronację Napoleona Wielkiego, piętnastu członków tego nielicznego rodu było doktorami prawa, filozofji lub medycyny.

Przedtem już zaznaczyli się w literaturze: Jacopo Bonaparte, historyk, który jako świadek zdobycia przez Francuzów Rzymu w 1527 r., opisał to w dziele „Relacja historyczna o zdobyciu Rzymu". Mikołaj Bonaparte, profesor w San - Miniato, wydał, w 1592 roku komedję „La vedova", odznaczającą się szczególniej pięknym językiem. Bonaparte, imieniem też Mikołaj, profesor prawa w Pizie, w XVII wieku, był uwielbiany dla nowej nauki i wszelkich zalet; współczesny biograf pisał o nim: „Stworzony przez Naturę, aby był podziwem swego czasu i potomności". Bywały i znane kobiety z tego rodu: Matka papieża Mikołaja I-go z domu Bonaparte, a ciotka cesarza — Gertruda z Bonapartych Paravicini: „kobieta o cechach rycerskich, zwana Kloryndą Korsyki".

Dnia 15 maja 1768 r., ogłoszono przyłączenie Korsyki do Francji i tegoż dnia urodził się przyszły cesarz Francuzów. Akt chrztu zatytułowany: „Battesima di Napoleona Bonaparte". Tak więc już wtedy ustalona pisownia nazwiska. Oprócz Napoleona, Karol - Marja, syn Józefa - Marji i Saverji Paravicini, był doktorem praw uniwersytetu w Pizie i członkiem Szlacheckiej Rady Dwunastu na Korsyce; zaślubił Marję - Letycję Ramolino córkę Jana, inspektora generalnego dróg i mostów Korsyki, którego żona ze starożytnego domu di Pietra - Santa. (Na grobowcu Marji - Letycji, w Ajaccio na Korsyce, krótki napis: „Mater regum").

„Tragedja winna być szkołą królów i ludów: oto najwyższa nagroda, jaką mogą zdobyć poeci".

Powyższe słowa Napoleona stwierdzają, jaki pogląd miał cesarz na literaturę — jej przeznaczenie w życiu ludzkości.

Znaną jest przyjaźń okazywana przez Napoleona sławnemu aktorowi Talmie, który, ze swej strony, już w skromnym oficecerze artylerji odgadł geniusza. Po wielu latach, w Erfurcie na obradach monarchów, podległych cesarzowj Francji, wówczas, gdy oficer warty przerwał fanfarę odgrywaną przy wjeździe jednego z panujących okrzykiem: „Milczeć! To tylko — król" — sam Napoleon dwoma słowami oddał cześć poecie, mówiąc na widok wchodzącego do sali Goethego: „Oto człowiek".

Przyszły cesarz, będąc jeszcze kadetem w Brienne, w 1783 roku napisał wierszem bajkę, wzorowaną na utworze Ezopa, p. t. „Pies, królik i strzelec". — Później, będąc porucznikiem w pułku La Fere, w Grenobli, opracował dwa większe utwory: „Listy o Korsyce" (przedstawiające niszczycielską gospodarkę Francuzów na tej wyspie) oraz „Dyskurs Lyoński", będący odpowiedzią na pytanie Akademji Lyońskiej: „Jak osiągnąć szczęście?" — Wiemy, że w wiele lat potem cesarz mówił: „Szczęście jest to najwyższy rozwój moich zdolności..."

W garnizonie prowincjonalnym, wyszło również spod pióra młodego porucznika 12 rozpraw (o artylerji, o samobójstwie, o władzy królewskiej, o nierówności ludzi ect.); ówczesne notatki Napolcona z dziedziny astronomji, prawa, historji (szczególniej Indji i Egiptu), statystyki i t. d., objęły później 400 stron druku.

Pierwszą drukowaną pracą Napoleona była „Wieczerza w Beaucaire", broszura, w której z niezwykłą przenikliwością stwierdzał niemożność powodzenia buntów prowincjonalnych wobec istniejącej silnej władzy w stolicy (osnową książki było wyprawa gen. Carteau przeciw Marsylji.). Będąc chwilowo bezczynnym, przed mianowaniem dowódcą garnizonu Paryża, gen. Bonaparte pisał na poddaszu parę opowieści na tle podań wschodnich. Natchnione zwierzenia Napoleona o przyszłości, gdy jechał do Egiptu, a potem, gdy już jako panujący zawładnął Hiszpanją i myślał sięgnąć do Ameryki, były, według świadków - słuchaczów, poporstu godzinnemi improwizacjami, pełnemi najczystszej poezji.

„Dyktaty Cesarza" spisane na wyspie św. Heleny przez gen. Montholon („Wspomnienia z Egiptu". „Ocena rewolucji 1789 r." ect.) są ujętem w krzepkie cezarowe słowo cudem pamięci i jasnowidztwa. Nopoleon dyktował przechadzając się, niejako deklamując oratorsko, i jakiekolwiek zjawiska, odgłosy, ruch przechodniów, nie tamowały potoku jego płynnej wymowy.

Czem była literatura dla braci Cesarza?

— Oni chcieli być jej współtwórcami. Potomkowie ich wyróżnili się, jako uczeni.

„Ludwik upaja się wierszami" mówił Napoleon, w czasie kampanji włoskiej 1796 r. Ludwik chciał być nawet reformatorem poezji; o tem powiemy później: pierwszeństwo ma Józef, najstarszy. Dopiero w 1854 r., wydano 10 tomów p. t. Pamiętniki i korespondencja polityczna króla Józefa", jest tam dużo danych o Polakach, walczących w Hiszpanji.

Nieprzyjąwszy ofiarowywanych mu przez brata tronów, najwięcej czasu poświęcał literaturze Lucjan Bonaparte, książe Canino, były prezes Rady Pięciuset, który w zamachu „18-go brumair'a", tak walnie przyczynił się do wyniesienia brata, sam jednak odchodząc w cień osamotnienia, w którem powstały dwa poematy: „Charlemagne albo Kościół oswobodzony" (wyd. w 1815 r., a dedyk. Piusowi VII-u), „Cyrneida — albo Korsyka zbawiona" — wierszowany opis wyparcia saracenów z Korsyki. Przygotowując z Taylleyard'em zamach stanu, pisał Lucjan sentymentalny romans p. t. „Edmund i Stellina" (w 1799 r.), a za Konsulatu wydał: „Porównanie między Cesarzem, Kromvellem i Bonapartem", propagując ustanowienie cesarstwa Napoleonidów.

W 1829 r., ówczesne pisma polskie doniosły: „Hrabia St. Len (Ludwik - Napoleon dawny król Holandji) jest głównym nieprzyjacielem rymu. Wydał dzieło francuskie w Rzymie, w którem powstaje na tego tyrana poezji" — Nieprzewidywano wówczas, że po stu latach rymy takie będą nazwane „asonansami" i wkroczą oficjalnie do literatury: król Ludwik wydał także romans „Marya albo — Holenderka" (1814 r.) i „Historję parlamentu angielskiego" — Hortensya, z domu Beauharnais, żona króla Ludwika, pisała również wiersze, układała akompanjament do śpiewanych romansów, nawet niektóre z jej pieśni, naprz. „Partant pour la Syrie", stało się własnością ludu francuskiego, „zbłądziwszy pod strzechy".

„Semiramidą Lukki" zwano Elizę, siostrę cesarza, słynną z uczoności i krzewienia artyzmu w swych księstwach Lukka, Piombino i w. księstwo Toskany.

Prawdziwy talent poetyczny objawił się w pośmiertnie wydanych wierszach Joanny, córki Lucjana („Inspirazioni de una giovina muza"), i w rymach jej brata, ks. Piotra, słynnego z nieposkromnionego temperamentu, rewolucjonizmu morderstw i mezaliansu. Ten ks. Piotr, w 1861 r., wydał tłumaczenie „Nabudochonozora" Nicoliniego. poezje własne „Loisirs" w 1865 r.; potem, broszurę: „Na granicy Renu" oraz „Wspomnienia, tradycje i rewelacje".

Uczonym, miary bardzo wysokiej, był syn ks. Piotra, zmarły przed dziesięciu laty — Roland ks. Bonaparte, autor wielu dzieł z zakresu geografji, etnografji i botaniki; tytułów nie wyszczególniamy, bo stanowiłyby swego rodzaju bibljografję, przekraczającą rozmiary niniejszego szkicu. Ks. Roland był członkiem Paryskiej Akademji Nauk, od 1907 r.; prezesem francuskiego Tow Geograficznego i prezesem Międzynarodowego Instytutu Antropologicznego.

Zamiłowania ks. Rolanda pokrewne były dziedzinie prac jego rodzonego stryja, ks Karola (ur. 1803 r., zmarł 1857 r.), żonatego z Zenaidą, córką Józefa Bonaparte, króla Hiszpanji. Ks. Karol nadewszystko jednak zajął się ornitologją, i już jako dwudziestoparoletni młodzian wydał, wróciwszy z Ameryki, wspaniałe dzieło: Amerykańska ornitologja. Historja ptaków Stanów Zjednoczonych", gdzie opisał do 100 gatunków ptaków, nieznanych poprzed nim w nauce; w 1827 r. wydał w Pizie: „Przegląd porównawczy ornitologji Rzymu i Filadelfji", a w 1841 r. pomnikową pracę „Ikonografja fauny włoskiej" i wiele mniejszych opracowań. Świat naukowy go ocenił: ks. Karol był już w 1833 r. członkiem Akademji Nauk w Upsali; później członkiem Akademji w Berlinie i członkiem korespondentem Instytutu Francuskiego.

Ludwik, syn ks Lucjana, wydał w 1847 r. słownik porównawczy języków europejskich; potem „Katalog dzieł, służących do studjów porównawczych języków europejskich" (2 tomy), i poświęcil się badaniom języka Basków, pisząc: „Djalogi baskijskie", „Gramatykę" i dzieło: „Język baskijski a język francuski" (1862 r.)

Pominiemy wyszczególnianie licznych prac cesarza Napoleona III-go który nawet jako panujący, pisał wiele artykułów i szkiców do romansów, a z zamiłowania był archeologiem. „Ideje napoleońskie" (1839) r.), „Zniesienie żebractwa" (pisał w twierzy Ham, jako więzień „dożywotni" w. 1844 r.) i t. d. oraz główne dzieło „Juljusz Cezar" — oto dorobek literacko - naukowy drugiego cesarza Francuzów, którego wielokroć przewyższał uzdolnieniem ks. Napoleon, syn Hieronima, króla Westfalji, autor dobrej broszury w sprawie polskiej (według przemówienia w senacie francuskim w 1863 r.), mowy przed pomnikiem Napoleona I-go w Ajaccio w 1865 r.), manifestu przeciwrepublikańskiego (ogłoszony w 1883 r.), oraz książki „Napoleon i jego oszczercy", przeciwstawiającej się poglądom Taine'a.

Jeden genjusz i pięćdziesięciu ludzi talentu. I kończy się ród Napoleonidów.

Zdzisław Broncel

Front próżniaków

Uniłowski jest we „Wspólnym pokoju“ epikiem próżniackiego frontu, Rudnicki w „Szczurach“ jego gwiazdą, Edmund Miller w „Fikcyjnej postaci“ jego lirykiem, a Adam Tarn w wydanej niedawno powieści „Portret ojca w czterech ramach“ *) doprowadził ten rodzaj literatury niemal do absurdu. W każdym razie napisał powieść tak typową dla pewnego gatunku twórczości i postawy wobec życia, że nie może ona przejść bez wrażenia.

Jeżeli wobec dzieła wartościowego publiczność nie klaszcze, krytyka milczy, albo odwrotnie— wobec szkodnictwa kulturalnego publiczność nie gwiżdże, a krytyka nie atakuje, mówimy, że mamy publiczność bez smaku i krytyków głuchych, ślepych, zaśniedziałych w gnuśności. Tym razem idzie o drugi wypadek. Zdaje się, że książka Tarna, jak tyle innych, przyjęta będzie w tradycyjny sposób: to pochwalą, tamto zganią, reklama wydmie ten balon blagi pod niebiosy i abonenci czytelni zaczną zachłystywać się sukcesem. Maluczko — prenumeratorzy pism literackich otrzymają jako premję tę pseudojoyce'owską analizę prądów świadomości, opływających u Tarna zasadniczo i wyłącznie dolną część ludzkiego tułowia.

A właśnie trzeba, żeby „Portret ojca w czterech ramach“ nie był literacką jętką. Żeby nie minął tak odrazu, jak jednodniowa muszka. Książce należy się swoista sława, należy jej się reklama ostrzegawcza. Oczywiście odrazu przychodzi na myśl uwaga, że skuteczniejsze jest milczenie, niż ostry atak, który właśnie jest najpewniejszym środkiem wyrobienia książce rozgłosu. Doskonale, niech i tak będzie. Niema obawy. Powieść Tarna ma w sobie taką dozę bakcyli, że w każdym czytelniku odezwie się instynkt samozachowawczy. Otrząśnie się ze wstrętem. Zobaczy, jaką to my literaturę tolerujemy, roztrząsamy jej szczególiki estetyczne, bawimy się w dyskusje nad metodą autora, nie pisząc na czele — książka zła i szkodliwa.

Zatem — Tarna pod światło. Pod światło wraz z jego rodzimemi prekursorami. Pod ostry reflektor.

Tak, nikt nie przeczy, że autorowi należy się od krytyka analiza estetyczna, ocena jego wysiłku twórczego, zbadanie sposobu myślenia i ujmowania zjawisk, określenie na czem polega wizja świata tak, a nie inaczej ujęta w jego dziele. Tylko trzeba się zastrzec — książka zła i dobra nie może wyjść z pracowni krytycznej z receptą o wypisanych dokładnie składnikach, a z brakiem objaśnienia, czy składniki są dobre, czy złe.

Jeżeli zajmujemy się Tarnem, to dlatego, ażeby z jego książki zrobić epilog pewnej manji literackiej, pewnego literackiego sposobu życia i próżniaczego sposobu pisania. Po ukazaniu się powieści Tarna, trzeba powiedzieć— stop!

Literatura faktu kończy się samą siłą rzeczy, literaturze próżniackiej ten koniec należy się prędzej.

Skąd ona wyrasta? Przypomnijmy sobie skandal, jaki stosunkowo nie tak dawno wywołał Uniłowski „Wspólnym pokojem“. „Wspólny pokój“ odtwarzał właśnie życie młodych literatów. Skandal wybuchł dlatego, że zdemaskowano nieróbstwo. Pod przejrzystemi nazwiskami bohaterów „Wspólnego pokoju“ odgadywało się prawdziwe nazwiska. Młode talenty obruszyły się wówczas, bo okazało się, że główne ich zajęcie stanowi poszukiwanie pieniędzy, mających lecieć, jak manna z nieba, po zdobyciu pieniędzy poszukiwanie alkoholu, kobiet i dysput przy pół czarnej. W książce Uniłowskiego nie dostrzegało się śladu pracy. W światku literackim, jaki przedstawił, mimo czasów, gdy wszystko tętni praca, praca nie znajdowała wyrazu. Skąd czerpać soki twórcze, jakże kształcić postawę wobec życia, jak wyczuwać jego tętno, kiedy metoda literacka polega na wałkoństwie i analizowaniu wałkoniącej się psyche!

Kontakt z życiem? Owszem — wzajemne obserwowanie się, wzajemne fotografje jednego genjusza robione przez drugiego. Kiedy Uniłowski sfotografował wszystkich razem, zrobił gabinetowe zdjęcie, wybuchła awantura.

W tych warunkach literatura, tworzona przez ludzi, nie biorących czynnego udziału w życiu społecznem, nie znających innego frontu życia, jak własny próżniaczy, musi być oddalona od współczesności, musi być obca, niczyja, zjawiająca się nie wiadomo, poco i dla kogo.

Oto na innym froncie pisze Gojawiczyńska, pisze o Śląsku, o pracy, zespala w swej książce życie i sztukę. Oto pisze Choromański — pisze o szpitalach, o cierpieniu, o ludzkiej walce ze śmiercią; pisze Rusinek — wykrawa żywy kawał polskiego życia, a obok nich pisze Miller, Uniłowski, Tarn i na pograniczu stojący Rudnicki.

O czem mają pisać ci, których światłem zewnętrznym jest „Ziemiańska“, haustem życia — pół czarnej, domem — zerotyzowana, zgangrenowana atmosfera „Wspólnego pokoju“? Jedna jedyna możliwość: powieść psychologiczna.

Tak też się dzieje. Nie wolno byłoby robić zarzutu z a s a d n i c z e g o, że obracają się oni w ramach powieści i noweli psychologicznej, i że dla sztuki odchodzą od życia, byleby była to sztuka naprawdę. Tymczasem pod względem artystycznym występują te wszystkie cechy, jakie łączą ich powieść psychologiczną z zamierającą literaturą faktu i jakie szkodliwe są i artystycznie i w ostatecznej konsekwencji — społecznie.

Literatura faktu jest literaturą bierności społecznej, a więc też swego rodzaju wynikiem lenistwa. Po przeprowadzeniu akcji uświadomienia o klęskach socjalnych, po „Pamiętnikach bezrobotnych“, nie można ogłaszać jednego więcej reportażu, nie przyznając się tem samem do braku twórczej postawy wobec tragedji współczesności. Kto dziś nadal pisze powieściowe, czy nowelistyczne obrazki z dnia, ten tkwi w punkcie statycznym, nie kształtuje życia, a tylko je protokułuje. Spisuje sto pierwszy formularz.

Ta statyka, bezruch, martwota tkwi w powieści psychologicznej klanu Tarnów i Uniłowskich. Wyrwano najważniejszy nerw, sam rdzeń — w o l ę. Powieść Tarna jest typowym przykładem powieści o psychice nie kształtowanej wolą. Jego bohater do niczego nie dąży, nie przeżywa żadnej prawdziwej namiętności. Powieść psychologiczna—małoż dowodów w literaturze? — może wydać dzieła wspaniałe, ale wtedy, gdy istnieje p r ą d życia psychicznego, gdy można je porównać do rzeki, a niebo do stawów i zastoin.

Powieść psychologiczna Tarna jest fałszem. To nie jest prawdziwa ludzka psychika. To jest psychika zdegenerowana, psychika nieroba. W tem znaczeniu „Portret ojca w czterech ramach“ jest prawdą, tylko, że nie wyznaną przez autora. Tarn nie zaznacza ze swej strony niczem, że mamy studjum psychiki chorobliwej — dalej, nie motywuje niczem psychiki swego bohatera. Jest ona jakby zawieszoną w przestrzeni, do nikogo nienależącą, bezosobową — i dlatego mamy prawo powiedzieć, że zdaniem Tarna, że według jego osobistego doświadczenia psychika człowieka wygląda właśnie tak!

Tarn jest demonstracją do czego może doprowadzić twórczość literacka, w oparciu o tryb życia „Wspólnego pokoju“. Jak Uniłowski demaskował stronę zewnętrzną tak Tarn demaskuje stronę wewnętrzną. Lecz kiedy nagość książki Uniłowskiego wyłącznie była odrażająca, u Tarna znajdujemy miejsca, przy których nie sposób nie przyznać się: tak, jednak my z tym człowiekiem mamy coś wspólnego, jednak i w nas są jakieś mroczne rezultaty podświadomości...

Ten moment decyduje o szkodliwości społecznej powieści tego rodzaju. Przy obecnej modzie na determinizm psychologiczny, na freudyzm, przyczem moda łączy się z dyletancką, po łebkach, fałszywą i tumaniącą znajomością tych problemów — czytelnik gotów książce wierzyć. Czytelnik poddaje się przygnębiającej sugestji, obraz psychiki zdegenerowanej bierze za obraz własny, zostaje wydany na łup beznadziejności, na łup przeświadczenia, że on, człowiek, nie włada swoją duszą, jego myśl jest wypadkową jakichś podświadomych procesów libido sexualis i t. p.

Może płyną w naszej podświadomości czarne fale, może naprawdę gnieździ się w nas ohyda, ale jest jasny i czysty głos rozkazu, który potrafi to wszystko zgnieść i wepchnąć w właściwe miejsce. Najważniejsza treść myśli jest inna — płynie z życia, z pracy, z twórczości, a nie z rozkładu, jaki w bezczynie musi się dokonywać.

W literaturze próżniaczej nic psychiką nie rządzi: człowiek jest sfałszowany, poniżony do poziomu instynktów. Charakterystyczne: zwróćmy uwagę na obfitość u Tarna, Uniłowskiego, nawet u Rudnickiego, spostrzeżeń z zakresu uczuć ustrojowych (wrażenia wywoływane przez narządy wewnętrzne). Ten wpływ ciała na psychikę występuje u nich bardzo silnie, nawet tak silnie, że powieść jest prawie powieścią fizjologiczną.

Stan rzeczy właściwy ludziom próżnującym. Wślad za bezwładem psychicznym i fizycznym idzie przewaga instynktów.

Zatem — snobistyczne zakłamanie każe wierzyć w „śmiałe analizy“, w obnażanie „tajemnic“, w wdarcie się w „głębiny“ i t. d. Blaga — są to rzeczy proste i wiadome, tylko, że człowiek żyje ponad niemi, żyje wyżej — pseudo - śmiałość tego typu powieści psychologicznej jest po prostu przeprowadzką na niższe piętro.

A na jakie, możemy zobaczyć z cytaty z „Portretu ojca w czterech ramach“.

„O! lubię uzmysławiać sobie linję pośladków nie patrząc zadowalam się samym dotykiem. Gdyby rozbierała się i stała w gorsecie w króciutkiej koszuli odsłaniającej widziałem tak we śnie i tak sobie wyobrażam to jest tylko przez dotyk. Mój stosunek do kobiet jest bądź czysto zmysłowy bądź umysłowy ale często się zdarzało... to dziwne i śnię czasem o takiej, że leżę z nią w łóżku—tak nic pośredniego właściwie jak w małżeństwie? o czem się m... podczas stosunku?“.

Czy jeszcze ktoś ma wątpliwości?

P. S. Pisząc o książce Tarna nie wspominałem szerzej o jej treści. Obecnie chyba już zbyteczne...

*) ADAM TARN: „Obraz ojca w czterech ramach“. Powieść. Warszawa 1934. J. Przeworski.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Prawo dwunastu miljonów tablic

Oczywiście przesada. Nie będzie mowy o dwunastu miljonach, ale, jak się czytający o tem niżej przekona, w każdym razie o dobrych kilkudziesięciu tysiącach śpiżowych tablic.

A teraz proszę posłuchać:

W starożytnym Rzymie pierwotne prawo spisane było na dwunastu śpiżowych tablicach. To było całe prawo rzymskie. Uczono go na pamięć w szkołach i każdy obywatel (nie mieszkaniec państwa, bo te rzeczy w Rzymie ściśle rozróżniano) znał prawo swej ojczyzny. Tak było pierwotnie. A potem?

Współczesny człowiek, ogłupiony potwornym rozrostem ilościowym praw, gotów sądzić, że rozszerzano i zmieniano prawo, uchylając moc wyrytych na śpiżu przepisów. Otóż nie! Dwanaście tablic nadal pozostało zasadą prawa, uzupełnione nielicznemi ustawami, rozszerzającemi tę zasadę. Właściwy rozwój prawa szedł drogą podporządkowywania nowych zjawisk życia społecznego śpiżowym paragrafom dwunastu tablic. Pretor (coś w rodzaju ministra sprawiedliwości) ogłaszał, że dajmy na to do nowopoznanego, zagranicznego materjału, zwanego jedwabiem, stosować się będzie te przepisy, które w prawie zasadniczem odnoszą się do wełny i sprawa była załatwiona w ten lub podobny sposób. Obywatel więc znał prawo, a jego troską było conajwyżej zagadnienie interpretacji. Od tego byli adwokaci, a wśród nich najsłynniejszy adwokat świata, Marek Tulius Cicero, którego nazwisko wymawiać należy poprawnie Kikero.

Rzym dał światu — prawo.

A teraz wyobraźmy sobie, że ktoś pragnie współczesne prawo polskie wykuć na śpiżowych tablicach. Obowiązujące u nas prawo, to nie jest kilkanaście tablic, ani kilka książek, zadrukowanych paragrafami, ani półka z takiemiż książkami, ale cała bibljoteka. Wedle najpobieżniejszych obliczeń po przeliczeniu na tablice da to około sześćdziesięciu tysięcy tablic poważnej wielkości. Jeżeliby ktoś zapragnął te tablice przybić na murach Warszawy, jak to było w Rzymie, to umieszczając po parę tablic na każdym domu stolicy, wytapetowałby niemi całe miasto, nie wyłączając peryferyj.

Oczywiście żaden obywatel nie mógłby znać wszystkich praw. Nie mógłby ich znać także żaden prawnik. Jeden adwokat, powiedzmy specjalista od spraw karno-administracyjnych, znałby tylko drogę z ulicy Miedzianej na Cynową i łączność między przepisami, wyrytemi na tablicach tych ulic. Drugi, naprzykład specjalista od prawa akcyjnego, znałby tylko drogę z Wroniej na Kruczą. Trzeci...

Niema wprawdzie u nas tablic na murach całej Warszawy, ale skutek jest ten sam. Prawnik czuje się w stosach przepisów jak w wydmach lotnego piasku. Zapada w nie coraz głębiej, bez nadziei wybrnięcia. Pokątny znawca gra rolę świnki morskiej na katarynce: na chybił-trafił wyciąga przepowiednie spośród stosu innych kartek. Obywatel natomiast nie usiłuje nawet poznać choćby części przepisów, bo wie, że to niemożliwe, że jest ich cała rzeka: jedne przypływają, inne odpływają, tracąc moc obowiązującą.

W tem położeniu człowiek ulicy, że użyję ulubionego zwrotu Goebbelsa, nie wie nigdy, kiedy łamie prawo, kiedy nie, jego poczucie prawa zanika, a filozofja prawna wygląda, jak psychologja owego czerkiesa (Generał rosyjski dostał ostrzeżenie, że publicznie zbiją go po twarzy. Wziął więc dla ochrony olbrzymiego Czerkiesa i z nim wszędzie chodził. Pewnego razu szli przez Newski Prospekt w Petersburgu, aż tu nawprost nich zatrzymała się elegancka karjolka, wyskoczył z niej jegomość w cylindrze i mikołajewskim płaszczu, podszedł do generała i z dwóch stron „znieważył go czynnie“, poczem wrócił do karjolki. Generał w najwyższem oburzeniu obejrzał się na Czerkiesa, a ten — stał na baczność. „Myślałem — tłumaczył się później — że on starszy“).

Co trzeba zrobić, żeby prawo stało się własnością narodu, żeby naprawdę żyło, a nie było zabawką dla manjaków? Trzeba wprowadzić hierarchję praw. Musi być prawo zasadnicze, muszą być obowiązujące zasady prawa, o objętości dwunastu tablic, żeby ich można było uczyć w szkole, żeby mogły wisieć w każdym urzędzie gminnym i żeby zarówno Franciszek Grzelak z Zarzecza, jak i profesor entomologji ze stołecznego uniwersytetu wiedzieli co jest wogóle zgodne z prawem, a co jest niedozwolone. Na szczycie hierarchji praw stać muszą dogmaty prawne.

Jak dotąd bowiem stosunek przeciętnego człowieka do prawa nie jest stosunkiem członka narodu do wytworu ducha tegoż narodu, ale stosunkiem murzyna z kolonji Kenya do tajemniczych i niezrozumiałych żądań białego eksploatatora, opartych na zadrukowanych kartach białego papieru.

Henryk W. Chmielewski

Jasiek

Tak, jak codzień, wlókł za sobą gospodarzową kapotę, obwaloną łatami i nieprzydatną już do chodzenia. I tak samo byczek szedł pierwszy z krótkim, zadartym łbem, a graniasta ociągała się chytrze naostatku i raz poraz zanurzała gębę w kwitnącej koniczynie, wyrywając całe kępy.

Strach przeszedł chłopaka, bo gospodyni patrzała z podwórza.

— Puśtu klempo! Żebyś golenie połumała!

Pognał krowy kłusem, aby jaknajprędzej dostać się na szeroką drogę i zniknąć gospodyni z oczu.

— Nie łoluj tak, Jasiulek, nie łoluj!

Zwolnił kroku, bo i tak byczek skrył się już na zakręcie, a za chwilę pozostałe trzy krowy i jałoszka zajęły całą szerokość błotnistej, wyjeżdżonej drogi, którą z obydwu stron osłaniały zboża. Wpędził na boczną dróżkę, ogrodzoną po bokach pojedyńczemi obladrami. Niedaleko była świeża łąka. Pasł tu dopiero od tygodnia, ale krówska dzień w dzień przychodziły do zagrody przeładowane jak beki, że tylko postękiwały. Gospodyni spoglądała teraz na niego łaskawiej, a nawet raz i drugi podsunęła mu smacznego twarogu. Ale najwięcej uradowany był z tego, że przy nowej łące biegła droga, którą się szło do Kuchar. Godzinami wpatrywał się w ogromne topolowe czuby, wystające zza ziemi, myśląc, że są to te same drzewa, które stoją koło kucharskiego dworu. A przecież trochę wbok od tych topoli była ich chałupa.

Rozpostarł sukmanek pod krzakiem, położył się i patrzył w niebo, które od samego świtu było szare, zawleczone chmurami. Ogarniał go jakiś przyjemny bezwład. Głowa sciężała, przywarła do ziemi i co chwila sprzed oczu znikało pole, zasłaniane znużonemi powiekami. W cieple jaśkowego ciała zbierał się zdradliwy sen, zganiany chłodnemi wiatrami ze świata. Półsennym wysiłkiem bronił się i patrzył przez rzęsy na przyciemnioną łąkę, która jakoś wydawała się coraz rozleglejsza, bezbrzeżna...

Widać graniastej uprzykrzyło się to deptanie w jednem miejscu, bo podniosła łeb, rozejrzała się i wolnym krokiem poszła w stronę rowu. Z wierzbin, z tataraku i gęstego sitowia wystawał czerwony grzbiet i duże, wygięte rogi. Potem zniknęła zupełnie. W górze tylko chybotały się wierzchołki zieleni, rozczepiały się z szumem gałęzie i nisko, pod racicami, chlupotała woda. Na drugim brzegu, zaraz za wąskim pasem trawy, były zagony buraków. Krowa zadarła łba i prawie kłusem puściła się w tę stronę. Jej śladem, po krótkiem wahaniu, poszła reszta bydła.

Jednak ktoś doniósł o tem Paciorkowi, bo niebawem pokazał się z biczem w ręku. Zaraz za nim biegł chłopak. Obaj zalecieli bydłu z ob ustron i popędzili je dróżką, która szła wukos przez pole i skręcała do wsi.

Przedpołudniem chmury się trochę przetarły i postrzępiły, że miejscami obnażał się pogodny błękit. Niekiedy na te wolne przestrzenie wypływało słońce i patrzało na ziemię potokami ciepłego światła. Głęboko, pod wierzbowemi gałęziami, łaskotało jaśkowe powieki.

Spojrzał w zieleń, która zwisała nad głową gęstem, pachnącem sklepieniem.

— Olaboga, a bydło!?

Rozejrzał się, a potem wpadł z krzykiem w zarośla, przeskoczył rów i zobaczył skotłowane buraki. Bydła i tu nie było. Wtedy rzucił się do domu naprzełaj przez warzywa, kartofle, len, potem miedzą przez żyto.

Gospodarz smarował wóz na podwórzu.

— A wejno Zosia, pewno co z bydłem sie stało!

Kobieta wybiegła naprzeciwko.

— Jasiek, a co z krowamy!?

— Olaboga, Paciorek my zajun, o mój Boże!

— A gdzieś ty buł nimoto, co? Ja cie nauce pasenia!

Przewaliła go w koniczynę i zaczęła bić.

— O Jezusie, juz nie bede! O Józefie śwenty nie bede!

Gospodarz skoczył bronić chłopaka i zaczął szamotać się z żoną.

— Odyńdź parobasie, bo me ponurzas! Do gnoju z pazuramy, a nie do mnie!

Chłop odwrócił się do Jaśka.

— Widzis, dobrze ci zrobiła, a teraz chodź z panem po krowy.

Poszli w stronę ostatnich zagród. W podwórzu u Paciorka nie było nikogo, tylko duży, żółty pies biegał po drucie wzdłuż gospodarskich budynków i naszczekiwał. Gospodarz wszedł do izby. Paciorek siedział przy oknie i palił papierosa. Nieduża dziewucha, trochę starsza od Jaśka, zmywała statki.

— Co, ponośta bydło my zajeni? Straśnie was ukrzywdziło!?

— Obacyta z sołtysem przy taksie!

Parzych, Jaśków gospodarz, wysunął się naprzód i spojrzał hardo.

— Juz wy lepi, Paciorek, nie śpekulujta, ino wypuśta my bydło, bo głodne.

— A śkoda to co? Z nieba my nakapało, zebym cyjemy krowamy spas? Przyprowadziem sołtysa, świadków, niech widzu i niech taksuju!

Jasiek tymczasem przezywał się z Olkiem, który za stodołą, na sadku, pilnował zajętego bydła. Zaczęli ciskać w siebie kamieniami. Olek skoczył pod szopę i spuścił psa z łańcucha.

— Bierz go Neptek, za golenie parzychowego wyzyraca!

Ale z mieszkania wsamraz wychodzili chłopi. Jasiek trzymał się blisko gospodarza i ze strachem spoglądał w podwórze.

Niedługo sprowadzili sołtysa i dwóch chłopów. Paciorek przepędził bydło z sadku na podwórze, a Jasiek zajął je prosto do zagrody.

Na drodze podbiegł Olek.

— A puść teru, złodzieju, we śkode, to bedzies miał gnaty połumane!

— Pocałujes me!

Zboku, zza zboża pokazywały się chwilami czapki i głowy chłopów, idących szacować paciorkową szkodę.

Popołudniu Jasiek znów wypędzał na łąkę. Gospodyni odprowadziła go z bydłem, aż do szerokiej drogi i rzekła naodchodnem:

— Pani zaoręduje do Kuchar, żeby cie wzieni. Przymały jezdes do pasenia.

Radość i dziwny niepokój zmieszały się w jaśkowej duszy. Otrząchał się, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś obrzydliwy ciężar. Pa-

Adolf Nowaczyński

Gobineau w Polsce

Niezwykle dobrze, szczęśliwie i w samą porę stało się, że przypomniano także i w Polsce dziwnie magnetyzującą a tajemniczą postać z pogranicza kultury francuskiej i niemieckiej cywilizacji, postać stale zapominaną i znów stale wracającą, mitową i jakby legendarną, a jednak systematycznie co kilkanaście lat w realne życie publiczne i polityczne ingerującą i swemi sugestjami pośmiertelnie, pogrobowo znów aktywną.

Tym razem zawdzięczamy postawienie postaci „normandzkiego" arystokraty i myśliciela w pełne światło dyskusji (prywatnej) rodzimych klerków (i laików) uczonej rodaczce, docentowi dr. Stołyhwo, która na Zjeździe P. S. K. (Kobiet Intelektualistek) wygłaszając fachowy referat, niebacznie, ale w samą porę zaatakowała w extraturze widmo, które jak „duch komandora" zjawia się w pewnych momentach historycznych (1871, 1914) zawsze wtedy, kiedy w nowoczesności zaczynają się już ostatnie, końcowe przygotowania do odświeżających atmosferę wielkich kataklizmów wojennych.

TYLKO DLA MĘŻCZYZN

Szczęśliwie się zdarzyło, że docent pani Stotyhwowa do fenomenu Gobineau ustosunkowała się po kobiecemu, a więc ze stanowiska humanitarno - liberalno - postępowo - staroświeckiego, a więc przeciw dogmatowi walki ras jako podstawy wszelkiego rozwoju ludzkości i wszelkiej cywilizacji. Tak być powinno. Wszystko w porządku. Tak na krąg idei Gobineau powinna reagować kobiecość, uczuciowość. Takiem jest i pozostanie posłannictwo kobiet. Niobe czy święta Genowefa, przygarniająca do siebie, małego Murzynka i sierotkę Chinkę. Tak być powino. Gobineau nie jest, nie był i nie pisał dla kobiet. To są sprawy wyłącznie masculin, męskiego rodzaju i gatunku.

Z tej przyczyny bardzo łatwo jest przejść do porządku dziennego nad dość obojętnym faktem, że francuski hrabia polskiej demokratycznej docentce całkiem się nie podoba. Z okazji natomiast trzeba skorzystać i przypomnieć męskiej inteligencji wyższej rangi umysłowej, że jest już najwyższy czas (höchste Zeit), aby właśnie teraz nieco się z Gobineau zaznajomiła, dla świata jego idej smak sobie wyrobiła, problemom nauki, zasad nieco czasu poświęciła i ewentualnie przystąpiła do założenia Stowarzyszenia, Związku czy Klubu Gobineau, to znaczy asocjacji takiej, jakie na Zachodzie są wszędzie. Chętnych znajdzie się zapewne kilkuset. Czas nagli: Zapewne, że są i sprawy pono ważniejsze. Jeżeli atoli egzystuje od dość dawna „Tow. Dante Alighieri", to stokroć ważniejsze i aktualniejsze „Stowarzyszenie im. hr. Gobineau" w Polsce, zagrożonej już poważnie rasowym indyferentyzmem i supremacją Chazarów jako Waregów (norman conquest).

N. R. F.

Wystarczy tu powołać się na przykład francuski, zanim wskażemy palcem na Niemcy i Włochy. Że tam nawet w tej erze zupełnego rozpadu i rozkładu, degeneracji i dekadencji, jednak pewne szczytowe grupy intelektualne przychodzą do oprzytomnienia i zdawania sobie sprawy z katastrofalnego stadjum już nie tylko zamierającego w bezdzietności narodu, ale agonizującej „rasy" Gallo - Franków, to o tem świadczą głośno i mocno takie dwa zjawiska, jak zeszyt „Nouvelle Revue Française" w całości rehabilitującej apoteozie Gobineau poświęcony, po czem zaraz, jako odpowiedź na to, książka M. M. Gorce'a, profesora uniwersytetu katolickiego (sic!!) w Tuluzie p. t. „La France au dessous des races" (Payot) sądząc z licznych recenzyj w perjodykach w opinji degryngolującego Paryża sympatyczny rezonans natrafiająca. Cóż to więc sygnifikuje? Otóż to przedewszystkiem, że się tam jednak i w tym „negroidalnym" Paryżu znów problemem wyższości, niższości ras, bio-dynamiką ras i walkami ras jednak powrotnie interesują.

Więc nie w samych tylko „opętanych" rasizmem Niemczech? Zeszyt „N. R. F.", to jest tego samego organu elity literackiej, któ ry nie tak dawno brzmiał hymnami o bankierskim psychologu Proust'cie, był do pewnego stopnia curiosum, wykazując dobitnie, jak zmieniają się gusty i zainteresowania od antypody do antypody. Ten zeszyt „N. R. F." dotarł i do Warszawy. Więc docent dr. Stołyhwowa łatwo przekonać się może, jakie to firmy i jakim tonem pisały o spostponowanym przez nią Gobineau; bibliografja zaś podana na końcu zeszytu byłaby wprost rewelacją dla naszej radykalnej progressistki... myślowo tkwiącej w epoce gazu i tramwajów konnych. I widocznie musi ten ruch ideowy za zgalwanizowaniem „Gobinizmu" i doktryny wyższości i walki ras być jednak dość silnym (choć może tylko pokątnie lub podświadomie) skoro profesor katolickiego (sic!) uniwersytetu uważał za wskazane z całem dziełem przeciw budzącemu się „rasizmowi" już wystąpić. Nie byłoby rzeczą jałową skonfrontowanie wywodów antirasowych prof. M. M. Gorce'a z rezultatami dociekań prof. Kretschmera, odrazu (jak się tego można było spodziewać), en vogue i „modnego" w Judosławji.

„ZŁOTY KWIAT"

W Polsce nazwisko Gobineau właściwie nie wywoływa żadnych w szerszym okręgu dreszczów lub podnieceń. Tych, co się nim i to tylko przelotnie zainteresowali, możnaby na palcach lewej ręki wyliczyć. W młodzieży literackiej jakiś czas cieszył się powodzeniem „Renaissance" w tłumaczeniu A. Strzeleckiego. Nietzscheaniści zajęli się nim przygodnie w związku z wpływem, jaki miał na Zaratustrę. Dopiero filozof i estetyk Michał Sobeski dał w r. 1925 monografję objektywną i nie egzaltującą p. t. „Kwiat Złoty", w której raczej popularnie „poucza ziomków kto zacz" był ten francuski dyplomata, antropolog, prehistoryk, językoznawca, dramaturg, nowelista, rzeźbiarz, esteta a przedewszystkiem nieco kosmopolityczny... (sic!) a w każdym razie kosmopolityzujący antyrepublikanin, rojalista, legitymista i „obywatel świata", goethowski „Weltbürger" równocześnie.

TRZEJ PRYMUSI

W swej zresztą bardzo poprawnej książce o Gobineau Sobeski nie uwzględnił dorobku naukowego i roli, jaką odegrał jego uczeń-prymus markiz Vacher de Laponge (L'Aryen et son rôle), na którym najlepiej i najwnętliwiej można uczyć się systemu samego mistrza. Tytuł „Złoty Kwiat" tłumaczyć należy tym poglądem Gobineau, że po rozkwitnięciu wspaniałej złotej cywilizacji rasy białej przychodzi jej kres, a do głosu dochodzą kulturotworne ludy z ras następnych (żółtej i czarnej). Wróżył to chiliastycznie francuski... leptosonik" na 50 lat jeszcze przed dzisiejszymi zresztą już zlikwidowanymi piewcami „Unterganga des Abendlandes", jak również wywróżył rozbudzanie się szybkie ludów azjatyckich, ich industrjalizację, autarkję państewek południowo - amerykańskich i zamknięcie białej Europy w klatce hiperprodukcji i supermilitaryzacji.

Tu dodajmy jeszcze, że ten myśliciel, o wzroku „voyanta" wieszcza był co się zowie dyletantem we wszystkich tych dziedzinach, które uprawiał i że naukowe korektury podstawy i fundamenty dał jego teorjum dopiero jego drugi wielki uczeń - prymus Niemiec L. Scheimann w dwutomowej monografji. Trzeci wielki uczeń - prymus Anglik Houston Stewart Chamberlain, który z obrzydzenia do komercjalnej i merkantylnej W. Brytanji duchowo się zgermanizował, (syn angielskiego admirała!) całe systema rasologji Gobineau przeinaczył, dostosowaując je do wszechniemieckich imperjalistycznych fantasmagoryj wilhelmowskich. W jak wielkim zaś zakresie dowolności tego dokonał, wystarczy powiedzieć, że mapa antropologiczno - rasowa Niemiec, wydana przez niemieckie „Gobineau-Vereinigung" została w Niemczech... zakazana, gdyż wykazywała (kolorystycznie) beznadziejną mieszankę (bastardyzację) szczepową i rasową na terenach, zamieszkałego przez Niemców „Deutsches Reich". Właśnie bowiem dyletant Gobineau już to stwierdził, że jeżeli Francja nowoczesna, to konglomerat ostatecznie rassenvolków z Herren - rassen (Gallowie, Saksowie, Herulowie, Wizygoci, Allemanie, Burgundowie, Frankowie) z przewagą Franków (Germanów), a więc bądź co bądź jednak czystość we krwi, to Niemcy, a już szczególnie Prusacy...: Obotryci, Lutycy, Litwini, Polanie... może i Chazary wogóle Słowianie, Sclavi, czyli, jak nowoczesna nauka definjuje: lapponoidalni a docent Stołyhwo uczy: „homo fanotrichus geaukopis brachyocefalus" (Lechita vel Sarmata).

NIE IDZIE O SZCZEGÓŁY

Rzecz prosta, że wobec dzisiejszego stanu scjencji antropologicznej i wiedzy i biodynamice ras ludzkich przeważną część systemu i też Gobineau w „L'Essai sur l'inegalite" oczywiście, przestarzała, zalatuje myszką, tą samą, którą trąci i Cuvies i... Lynneuss... i Darwin... i Comte... i Rzymowskiego święty patron Benedetto Croce... Taki podział na trzy rasy zasadnicze: białą, żółtą, czarną, w którym to podziale Słowianie (sic!) zdegradowani na żółto - białych, nie tylko zakrawa na nonsens, ale jest wierutnem głupstwem, jak również głupstwem jest np. inferioritas rasowa takich żółtych, jak np. Japończycy, za czasów Gobineau jeszcze minimalnie poznani i znani, a dzisiaj klejnot ras ludzkich najmoralniejszy, naj zdrowszy, najaktywniejszy, najbardziej postępowy i jutrzejszy, a równocześnie najszlachetniej konserwatywny i tradycjonalistyczny. Możnaby więc łatwo całą doktrynę Gobineau o nierówności ras obalić jednym tylko przykładem cudownie często rasowo - nacjonalnego cesarskiego Nipponu... już nawet nie sięgając do drugiej rasy „podręcznej" do... „najstarszych Arjów" rodaków Rabindranatha, Gandhiego i Krisznamurthiego... Słabe miał nietylko pojęcie ale i przeczucie biodynamiki i energji rozwojowej nie-białych ras francuski gotycki hrabia. Ale te omyłki, gaffy, uogólnienia, hipotezy, błędy i nieprawdy wielkiego dyletanta nie przesądzają, czy nie skreślają tego, że hrabiemu udało się stworzyć choćby wspaniały mit, a zarazem nowy motor dziejowy, nowy zaczyn ideowy dla ludzi czynu, ludzi walki, jednostek władczego, cezarycznego gatunku. Przy lekturze głównej pracy hrabiego dyplomaty dzisiaj mogą się może i zaśmiewać nasi specjaliści profesorowie. Będzie to jednak ten śmiech, jakim też wybucha dzisiejszy sceptyk przy lekturze czarnych „upławów" wersyfikacyjnych Słowackiego „Króla Ducha" (quelle blasphęmie!) Niczego to nie dowodzi.

DOPIERO POCZĄTEK

W szczegółach, w ścisłościach w naukowych motywach i premissach Gobineau oczywiście zwietrzał, czy spełzł doszczętnie Pachnie paczulą. W wielkich rzutach i perspektywach historjozoficznych, „planetarnych" dopiero się zaczyna. I jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że nieco równocześnie z nim a nieco później, a całkiem niezależnie od niego i niewiedząc o nim do bardzo podobnych czy mocno pokrewnych wniosków i rezultatów na całkiem innych torach naukowych na jednym, ale najważniejszym odcinku myślowym doszedł i jeden z naszych uczonych, a mianowicie Ludwik Gumplowicz.

Używamy epitetu: naszych, aczkolwiek znakomity krakowianin był profesorem uniwersytetu w austrjackim Gracu, niedopuszczony do Alma Mater Jagiellonum przez Stańczyków adorujących wówczas tylko... Klaczkę (vel Klaczkina). Otóż Gumplowicz zmarły w r. 1909 napisał dwa fundamentalne dzieła, które niniejszem poleca się uprzejmie do łaskawego przypomnienia sobie wszystkim nowym adeptom Świętokrzyskiego-Hulkowego... Kretschmera. Jedno dzieło to Rasse und Staat (1871), a drugie w dwanaście lat później „Der Rassenkampf" (1883).

Na jednym najważniejszym szczytowym punkcie swych rozważań schodzą się omal dosłownie i francuski fedual, „Frank" hr. Gobineau i genjalny socjolog żydowski:

„Walka ras jest czynnikiem decydującym w powstawaniu i rozwoju państw i społeczeństw"...

„Bez antagonizmów rasowych niema rozwoju państw i mocarstw".

DŁUGOGŁOWCY I TĘPOGŁOWCY

Niechże sobie te dwie maxymy zakarbują w pamięci nasi brachyocefale i nasi... mikrocefale, nasi długogłowcy i... tępogłowcy. Niema jednego punktu na kuli ziemskiej, gdzieby się nie ścierała jedna rasa z drugą rasą i to na wieczne czasy i od samego początku...

A od jakiego początku??

To znowu tłumaczył swoim uczniom jeden uczony murzyński, świeżo na chrześcijanizm nawrócony, a będący niejako kandydatem na ...czarnego Gobineau...

„Kiedy Kain zabił swego brata Abla dał się głos słyszeć w niebiesiech: Kainie, gdzie twój brat Abel?

Wtedy Kain zbladł (jak ściana) i zaczął drzeć na całem ciele...

I tak powstała rasa blada, biała czyli Europejczycy".

Z plastyki

— **Pociąg z wystawą dzieł sztuki.** W Paryżu odbyło się uroczyste otwarcie ruchomej wystawy dzieł sztuki, urządzonej w pociągu. Pociąg ten, nazwany „Train Exposition des Artistes" objeżdżać będzie całą Francję, docierając do najdalszych jej zakątków, odciętych od świata sztuki. Uruchomienie pociągu nastąpi w dniu dzisiejszym.

— **Sukces Wystawy Grafiki Polskiej w Strasburgu.** Wystawa Grafiki Polskiej w Strasburgu cieszy się wielkiem powodzeniem i odnosi z każdym dniem coraz większy sukces propagandowy. Prasa alzacka poświęciła Wystawie cały szereg niezmiernie życzliwych artykułów, w których z podziwem wyraża się o dorobku polskim w dziedzinie grafiki.

Na szczególną uwagę zasługuje artykuł prof. Uniwersytetu Strasburskiego i wybitnego znawcy sztuki, dr. Schneegansa, opublikowany w dzienniku „Journal d'Alsace et de Lorraine". Autor pisze m. in.: „Kontemplacja tych arcydzieł wzbudza w nas uczucie winy i wstydu, że my na Zachodzie tak często i tak bardzo jesteśmy niesprawiedliwi wobec mistrzów polskich, nieznanych nam nieraz nawet z nazwiska. Łączą oni w dziełach swych siłę, głębię, poezję i wdzięk wiośniany z techniką prawie zawsze doskonałą, zarówno jeśli chodzi o drzeworyty, jak i subtelne akwaforty, wytrzymujące łatwo porównanie z najlepszemi dziełami naszych grafików współczesnych".

nięć matczynych łez ożyła i zwaliły się przypomnienia długich, upiornych tygodni, kiedy w chałupie nie było kawałka chleba. Raz, nocą, matka wymknęła się na wieś i przyniosła kartofli. Powtarzało się to często. Dzieci nie płakały już z głodu, ale ona wychudła jeszcze bardziej i chodziła zawsze z czerwonemi, zapuchniętemi oczyma. Jednego ranka nie powróciła do domu. Jasiek obudził Zośkę i Ignasia i we troje wybiegli z krzykiem na wieś. Kobiety zaprowadziły ich do sołtysa, gdzie było kilku obcych ludzi i matka spłakana, prosząca o zmiłowanie. Matka była złodziejką! Teraz Jasiek zrozumiał, dlaczego sama nigdy nie tknęła tych kartofli, tylko kryła się po kątach i płakała. Potem zabrali chłopaka na obcą wieś, daleko od Kuchar i kazali mu paść bydło. Odtąd już więziły go te wytarte, przyszarzałe ugory i w mózgu, jak cierń wbity własnemi rękami, siedziała wiecznie myśl o matce i o Kucharach. Wszystko tutejsze tak mu obrzydło, że nie mógł już dłużej wytrzymać. Nawet kiedyś wieczorem, dostawszy od gospodyni baty, wymknął się pocichu i ruszył polami do Kuchar. Niechby się już raz skończyło! Ale gdzieś na nieznajomych miedzach ogarnęła go noc i musiał wracać. Teraz sami go nie chcą. Musi iść do Kuchar i matka znów będzie kradła dla niego kartofle. Nie! Jasiek uprosi gospodyni, żeby go zostawiła. A jeśli ojciec powróci z Francji, z roboty, to wtedy sam go zabierze. Matka mówiła, że wówczas będą mieli i chleb i kartofle i słoninę. Było już pod wieczór. Słońce przystygło, sczerwieniało i opuściło się nad same chałupy. Na horyzoncie, jak zwykle, rozpierały się potężne, kopulaste topole. Wąska droga, poprzerywana kałużami, przecinała pastwiska i ginęła w odległych zbożach.

Jasiek patrzył.

Nagle!... Krew zerwała się gorącym huraganem, aż zadudniało w piersiach.

Czarną linją drogi zbliżała się chuda, przygarbiona kobieta i jakiś niski chłop. Przez łzy widział ich coraz bliżej i wyraźniej. Cofnął się trochę za krzaki, spuścił głowę i wyczekiwał.

— Jasiulecek, a chocieno do matki, chocieno!

Wyciągnęła ręce z jakąś dziką chciwością i biegła przez łąkę.

— Przyksyło ci sie, synusiu, przez matki i przez chałupy, przyksyło?

Przypadła do dzieciaka i utkwiła w nim niespokojny wzrok. Chłopak milczał, jakby zawstydzony i ukrywał oczy. Wszystkie pulsy tętniły mu bezładnie, ogłuszająco. Ciepło matczynego ciała pobudzało tłumione tęsknoty. Paląca nawałnica wzbierała w piersiach i szła do gardła goryczą coraz obfitszą, której niesposób było przełknąć, ani zdławić. Wybuchnął głośnym płaczem.

— Co, niedobrze ci tu było, Jasiulek, niedobrze? Powidz matce!

— Dobrze my...

— Nu, to nie płac robaku, a patrzajno, ociec z Francyi przysed!

Mówiła głosem urywanym, trwożnym, brzemiennym troską.

Jasiek spojrzał ukradkiem. Poznał ojca, choć teraz wydawał mu się jakiś chudszy i mniejszy, niż dawniej. Twarz miał ciemną, jak ziemia, zarośniętą krótkim, czarnym włosem. Był boso, w podartem ubraniu.

— Mamusiu, a byliście w Kucharach?

— Toć z Kuchar idziewa, mój dziecioku.

— Z Kuchar?

Uśmiechnął się i patrzył w ziemię zaiskrzonemi oczyma.

— Zajmaj, toć tylko patrzyć zachodu!

Bydło szło wolno ociężałe, najedzone i zmęczone pod wieczór.

Wieś sterczała w zbożach wysokim grzebieniem zieleni i brunatnemi strzechami. Słońce opadło już na sam skraj nieba i prześwitywało rumieńcem przez sady. Smugi lekkich obłoków układały się warstwami na zachodzie i nurzały się w purpurze. W przyczerwienionych przestrzeniach stała chłodna, nieruchoma cisza.

Krowy zatrzymały się przy bramie i odezwały się słabym, jęczącym rykiem. Gospodyni podbiegła otworzyć.

— O widzis, ojce do ciebie przyszły, ho, ho!

Wpuściła bydło, które zaczęło obwąchiwać i roztrącać naczynia, pozostawione przed sienią.

— Wacun, a chocieno, to uwiążes krowy!

Pies ujadał i rwał się do obcych, aż łańcuch trzeszczał.

Na drugi dzień nie budzili już Jaśka do bydła. Kiedy otworzył oczy, na chlewie było bardzo widno, bo szparami w szczytowych deskach wdzierały się promienie słońca. Ojciec, napół ubrany, spał obok. Jasiek zaraz przypomniał sobie wczorajsze.

— A wej, póde do Kuchar, póde!

Zmówił pacierz, zsunął się z chlewa i poszedł bawić się z psem.

— Widzis Lamor, juz tera póde do Kuchar i nie bede pasturkiem, widzis?

Obiema rękami klepał psa po łbie i patrzył mu w oczy.

W stodole odezwał się stukot i szum noży, tnących świeżo zielsko. Jasiek wsunął się przez półotwarte wierzeje. W kącie klepiska matka obracała krótkim, okutym drążkiem, a gospodyni ładowała zielsko w ladę, napierając nim na tryby. Chwilami i ona chwytała za drąg, a wtedy koło rozpędzało się z podwójną siłą i noże cięły coraz drobniejszym i szybszym chrzęstem. Za parę minut, na rozpostartej na klepisku płachcie, usypała się wysoka góra porzniętej zieleni. Matka odpocząwszy trochę, opowiadała dalej:

— I niech se pani ino pomyśli, z Francyi, taki świat piechty. Od wiosny, pani, sed boso, bez pijendzy, o prosónem chlebie. A mało to go Miemce i Belgijce wytyrzały po areśtach. Jaz me zacisnęło, jakem go obacyła. A przecie, pani, molestowałam, jak ta suka, zeby nie chodziuł. Bida była w chałupie, jaz łeb derło, a tu jesce totygo małygo się spozdziwałam. Ale myśli pani ze co? Ino sie swołeć rozjusuł, pobiuł me i posed. Tłumacuł sie, ze roboty we wsi nima. Toć nicht nie powi, ale zawso chłopoju łatwi cóś zaredzić, niz kobiecie z takiem drobiazgiem. Cy jo mam tote zdrowie co jenna, ze do roboty pódzie, jak nie tu, to tu i zarobi?

Przerwała i zamyślona patrzała w pusty sąsiek.

Gospodyni zbierała końce płachty w ręce, aby wynieść zielsko do koryta.

— Toć i od nas wyrobniki byli we Francyi, ale kazden jakoś lundował!

— Ba, chłop chłopoju nierówny. Tero tyz przyjechoł jeden z nasy wsi, co buł razem z mojem i krunci sie, zeby kuznie postawić. To jenna rzec. Un my dopiru pedział sprawiedliwie co było. Mój od pocuntku zwąchał sie z jakiemyś poświetnikamy, piuł wódke, biuł sie i co? Włócyli, pani, jak zbrodniarza po sądach, po areśtach, a późni wypchnyli na morde i kazeli iść do dómu. Przysed, pani, jak dziad, jak wsiarz, na pośmiewisko dlo ludzi. Cy un teraz robote, pani, nańdzie? Cy

L. Ciechanowiecka

Bunt lalek

Reportaż z życia kobiet w Rumunji

NAJPIĘKNIEJSZE SUFRAŻYSTKI

Ktoś orzekł, że Rumunki to namiętne lalki. Nie dlatego „lalki", żeby były bezduszne, ale dlatego, że są takie kolorowe. Te śliczne malowanki czarują żywemi barwami, mają gładkie złotawe liczka z mocnemi kolorkami, made in Paris, uśmiechają się karminowemi wargami, które czasami — o ile tego wymaga suknia — przybierają odcień pelargonji, lub koralu (taki sam, jak wstążki u kapelucza). Są bajecznie zgrabne, mają małe wąskie stopy i wąskie smagłe ręce. Trudno sobie wyobrazić, aby taka cudna lala o ognistem spojrzeniu i namiętnych ustach, stworzonych do pocałunku, była naprzykład sufrażystką. A jednak. Ale o tem potem.

— Panie podobno nie mają prawa głosu ? — zapytałam podczas wycieczki po Dunaju pięknej pani, która w skrzydlatym białym kapeluszu i powiewnej sukni wyglądała, jak biały gołąb, o czarnych, aksamitnych oczach. Pani siedziała właśnie na pokładzie, przy stole, na którym ustawiła sobie wykwintne puzderko, z przyborami do makillażu. Poprawiała sobie sztuczne rzęsy, bo jedna się odczepiła.

— No, tak — odpowiedziała przeciągle — wykonywując przy powiece skomplikowaną gimnastykę palców zbrojnych w długi, czarny włos — no tak — nie mamy prawa głosu, ale mimo to robimy z mężczyznami, co nam się podoba.

— Panie zdobywają wszystkie prawa — zagabnęła mnie inna — złotowłosa, jak wenecjanka — podobno macie nawet senatorki i posłanki. Jakież to musi być kłopotliwe. Przecież w domu ma się dość kłopotu, a tutaj jeszcze kłopoty — poza domem.

— Niekażda kobieta ma własny dom i rodzinę — odpowiedziałam.

— Niekażda? — odpowiedziała naiwnie — ależ jeżeli nie ma męża, to i tak może siedzieć w rodzinie i opiekować się — powiedzmy — siostrzenicami. Mój mąż jest posłem. Gdy przyjdzie do domu, powiada zawsze — „a teraz mówmy o czem innem" — uważa, że tamte sprawy nie dotyczą domu. Bo, proszę pani, kobieta powinna być przedewszystkiem kobietą.

ACH, GDYBY KRÓL...

Właśnie tej pani zapytałam z głupia frant, jakie ma zdanie o — powiedzmy — instytucji faworyt królewskich. Ona na to, złożywszy modlitewnie pulchne rączki, o różowych pazurkach:

— Każda kobieta czułaby się niezwykle zaszczyconą, gdyby ją wyróżnił król.. Ach!—Być faworytą królewską... (Westchnienie podniosło jej okrągły biust). Niestety, nie wszystkie tak myślą, są kobiety, które mając takie stanowisko nie poprzestają na tem, by spełniać obowiązki nałożone na nie przez naturę, ale się jeszcze wtrącają do polityki. Ja naprzykład zgóry zobowiązałabym się, że nie będę się zupełnie wtrącać do polityki, będę tylko kobietą, la femme. Tu posłała tęskne spojrzenie, pełne najsłodszych obietnic, w stronę Bukaresztu.

Otóż, obok tych cudnych pań, których jedyną troską są sprawy miłosne, są inne, co walczą o swoje prawa z energją angielskich sufrażystek. Uważają, że dopóki nie będą mogły gardłować pospołu z mężczyznami w parlamencie, dopóty nie będą pełnowartościowemi obywatelkami kraju. A że mężczyźni w Rumunji nie chcą ani rusz tego zrozumieć, więc — walka. Niemal równie gwałtowna, jak w Anglji, za czasów miss Pankhurst, ale mniej zaciekła, bo naród rumuński ma dużo słodyczy i poczucia humoru. Trudno sobie wyobrazić, aby te prześliczne kobiety o sarnich oczach i tanecznych ruchach zadawały knock - outy policjantom i wymachiwały warząchwiami, przepraszam — parasolami. W Rumunji rzadko kiedy pada deszcz, przeważnie jest słonecznie, nie nosi się parasoli, ani gumowych płaszczy, tylko parasolki — kolorowe, jak kwiaty.

Niemniej, walka jest zażarta, chociaż prowadzą ją kobiety z natury łagodne, za kulisami życia. Wiadomo, że najłagodniejszy człowiek potrafi wpaść w pasję, gdy mu się ktoś będzie nieustannie sprzeciwiać. Zamknijcie baranka do obozu koncentracyjnego, to się we lwa srogiego zamieni. A niedołęga w bohatera.

PANI „PIORUN"

Spotkałam naprzykład w Bukareszcie znaną dziennikarkę, piszącą pod pseudonimem „Fulmen" (Piorun), panią Katarzynę Raicoviceanu, która jest pierwszą Rumunką, co została przyjęta do Syndykatu dziennikarzy lat temu dwadzieścia pięć.

Maleńka, szczupła pani, wymalowana po rumuńsku, o zielonych kocich oczkach i zwinnych ruchach opowiada z lubością, ile to miała przeszkód do zwalczenia, by sobie zdobyć stanowisko.

— Ojciec mój był znanym wydawcą, od dzieciństwa żyłam za pan brat z mądrymi ludźmi, pochłaniałam książki i gazety, no, i postanowiła pozostać reporterką. Ale osiemnastoletnia reporterka budziła taką sensację, że gdy szłam na wywiad, to wkońcu ja musiałam udzielać wywiadu i odpowiadać na pytania, jakiemi mnie zasypywano. Musiałam tłumaczyć, „dlaczego, z jakiego powodu zostałam dziennikarką, czy wytrzymam, czy potrafię, czy dam sobie radę...". Jakoś jednak dałam sobie radę. Swoją drogą toczyła się istna walka o to, czy mnie przyjąć do syndykatu czy nie. Wreszcie wpuszczono mnie do męskiego sanhedrynu.

Trzeba było przepychać się łokciami i dokonywać niebylejakich wyczynów dziennikarskich, żeby przekonać kolegów, że i słaba białogłowa może się przydać w prasie. Później ogłosiłam drukiem pięć książek (Listy kobiet, nowele, studja podróżnicze, Niemcy dzisiejsze, Pamiętnik siostry miłosierdzia). Podczas wojny przedostałam się do Fiume i zdobyłam wywiad z d'Annunziem.

DOM KOBIET

Powabny „piorun" narobił meladа zamętu w dziennikarstwie. Dzisiaj ma pani Katarzyna kilkanaście koleżanek, które już bez trudu przekroczyły próg syndykatu dziennikarzy. Sama zaś prowadzi rubrykę kobiecą w Dimineata, i zajmuje odpowiedzialne stanowisko w Biurze prasowem Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

— Bardzo niedawno zdobyłyśmy dzięki energicznej postawie „emancypantek wojujących" (przewodzi im księżna Cantacuzene), prawo głosowania do rady miejskiej. Kobiety, zasiadające w radzie miejskiej, rozwijają na wielką skalę działalność społeczną. Powstało dzięki nim kilka instytucyj, jak np. Casa Femei, dom kobiet, gdzie raz na tydzień odbywają się posiedzenia i wieczory dyskusyjne. Rok rocznie organizuje się tam wystawa sztuki ludowej. W słynnej Tesatoarea córki poległych żołnierzy uczą się haftów ludowych i otrzymują następnie posady instruktorek w miejskich i wiejskich szkołach. W kantynach robotnice i urzędniczki otrzymują tanie lub bezpłatne obiady. Pani Botez, żona Ministra ze stronnictwa caranistów, profesorka liceum, założyła szkołę dla urzędniczek, skąd wychodzą zastępy wykwalifikowanych stenotypistek, sekretarek, buchalterek. Obecnie, jak wszędzie, i w Rumunji istnieje tendencja do zwalniania kobiet zamężnych z posad, ale znowuż feministki rumuńskie wysłały sążnisty memorjał, w którym dowiodły czarno na białem, że ta ustawa godzi w byt rodzin, powoduje bowiem rozwody (w prawosławnej i greckokatolickiej Rumunji o rozwód bardzo łatwo) i w rezultacie ustawę cofnięto.

PIERWSZY ADWOKAT

Triumfem feministek było dopuszczenie do palestry pierwszej adwokatki rumuńskiej, Eili Negruzzi, która nawet została wybrana do sądu koleżeńskiego palestry i to pomimo kampanji, prowadzonej przez wrogów kobiet. Dzisiaj prawniczki rumuńskie pracują nad reformą kodeksu cywilnego. Żona b. ministra Gelmedżianu została radcą w komisji reformy kodeksu. Dzisiaj kobiety w Rumunji mają już prawo rozporządzać swoim majątkiem, niezależnie od męża, mogą same prowadzić przedsiębiorstwa handlowe na własną rękę, optować za tą lub inną narodowością i t. d. Inna feministka pani Satmary, jako radna miejska organizuje pomoc dla bezrobotnych. Wogóle kobiety w Rumunji odgrywają doniosłą rolę w życiu społecznem.

W ŻYCIU SPOŁECZNEM

Tu na sukurs mi przychodzi posłanka Kosmowska, która w monografji Rumunji wylicza cały szereg świetnie działających instytucyj, będących „chlubą kobiet rumuńskich". A więc stowarzyszenie „Munca" (Praca) posiadające filje we wszystkich miastach i skupieniach robotniczych, stow „Spiriniul" udzielające ubogim rodzinom pomocy materjalnej, zakładające szkoły dla młodzieży robotniczej, schroniska dla matek, kolonje dla dzieci. Prowadzi ono szkoły zawodowe i szkoły pielęgniarek. Na czele wszystkich organizacyj stoi Stowarzyszenie Kobiet narodowych i prawosławnych. Dziećmi drobnych rolników zajmuje się stowarzyszenie „Indrumerca", które zakłada ochrony na wsiach, tow. „Ocrotirea" opiekuje się dziewczętami wiejskiemi, poszukującemi pracy w miastach. Inne stowarzyszenie kobiece im. ks. Mircea (legendarny bohater rumuński) założyło kilka poradni dla dzieci w Bukareszcie, a kilkadziesiąt na prowincji.

Po wojnie powstały organizacje kobiece, opiekujące się sierotami wojennemi. Wychowuje ono sto tysięcy sierot, chociaż tylko piętnaście zakładów otrzymuje subwencje od rządu. Samorządy nie mogą rywalizować z ruchliwemi organizacjami kobiecemi, które drogą składek zdołały stworzyć mnóstwo społecznych placówek. Takie Koło Gospodarcze w trzydziestu filjach prowincjonalnych prowadzi poradnie higieniczne dla dzieci i wychowawcze dla matek, szkoły zawodowe dla tkactwa, szycia i haftów, urządza konkursy wzorowych gospodarstw i t. d. Największe w kraju seminarjum dla nauczycielek ludowych dla pięciuset uczenic prowadzi pani Sadoveanu.

THE RIGHT WOMAN ON THE RIGHT PLACE

Widać z tego, że emancypantki rumuńskie nie są typem virago, wąsatej baby - jagi, która chce koniecznie odepchnąć mężczyznę na drugi plan. Wybierają one sobie takie pole działalności, które najbardziej odpowiada naturze kobiecej — a mianowicie teren pracy społecznej, pedagogicznej i filantropijnej. Może mniej się rwą do maszyn, motorów i ksiąg buchalteryjnych, a bardziej do — dzieci. Zamiast marzyć o politechnice, uczą się wychowywać dzieci, wolą medycynę i fach pielęgniarski od fachu inżyniera, wolą prowadzić warsztat kilimkarski albo ceramiczny, aniżeli ślęczyć nad buchalteryjną księgą w dusznem biurze. The right woman on the right place — oto ich hasło...

O PIĘKNODUSZKACH

A teraz kilka słów o kobietach pięknoduszkach. Opowiadała mi o nich żywem słowem ognistooka Apriliana Mediano, młoda a energiczna dziennikarka, emancypantka w dobrym stylu, która słowem i piórem walczy o słuszne prawa dla kobiet.

Wiadomo, że nad Rumunją przewalały się burze i tajfuny, że piękny ten kraj rozdzierały walki domowe, że obcy okupanci wydzierali sobie kolejno bogate prowincje — kobieta w tych warunkach zmuszona była trwać na straży domowego ogniska, była z konieczności rzeczy odgrodzona murem od świata. Ale już w początkach 19-go wieku, gdy Rumunja odzyskała pełną niezależność, — czarnookie dziewczyny zaczęły coraz śmielej występować na arenę publiczną. W bogatszych rodzinach nauczyciele Grecy uczyli młodych panien języka greckiego, francuskiego i niemieckiego, mitologji i historji. Tylko uprzywilejowane panny wyjeżdżały na studja zagranicę. Otóż wśród tych emencypantek sprzed stu lat zabłysły dwie niezwykłe kobiety: Dora d'Istris i Julja Hasdeu.

SZESNASTOLETNIA TŁUMACZKA „ILJADY"

Dora d'Istra, córka księżnej Ghica, również zdolnej literatki, już jako szesnastoletni podlotek dokonała przekładu Iljady na język niemiecki. Interesowała się archeologją i historją, miasto Ateny mianowało ją honorową obywatelką, w podzięce za kilka dzieł z zakresu archeologji. Etnograficzne prace Dory d'Istria ogłaszane w językach włoskim, francuskim i niemieckim, cieszyły się dużem uznaniem. Współcześni twierdzili, że Dora d'Istria stokroć przewyższała rozumem i kulturą przereklamowaną panią Stael.

PICO MIRANDOLA W SPÓDNICY

Julia Hasdeu to już fenomen swego rodzaju. Opisuje ją pani Mediano w ciekawem studjum.

Julia była córką słynnego filologa i historyka rumuńskiego Petriceicu Hasdeu. Urodziła się w epoce odzyskania niepodległości przez Rumunję. W owym okresie usiłowano odzyskać czas stracony, zakładano szkoły i wyższe uczelnie, biblioteki i teatry, ale wychowanie dziewcząt było w dalszym ciągu uważane, za sprawę drugorzędną. Julia Hasdeu nie chciała uczęszczać do szkoły dla dziewcząt, wstąpiła do liceum dla chłopców, a ukończywszy je chlubnie w piętnastym roku życia wyjechała do Paryża, na dalsze studja. W rekordowo szybkim czasie doktoryzowała się na wydziale „Lettres et Philosopie". Że była fenomenem, o tem świadczy to, iż jako czteroletnia dziewczynka władała czterema językami. Mały Pico z Mirandoli w spódnicy budził podziw profesorów Sorbony. Poeci francuscy Prudhome i Mistral poświęcili entuzjastyczne artykuły jej filozoficznym poezjom o śmierci. Snać bogowie umiłowali Julję, gdyż umarła ukończywszy zaledwie dziewiętnasty rok życia.

Julja Hasdeau jest uroczą patronką rumuńskich feministek...

I WYLICZYĆ TRUDNO

Dzisiaj, obok wymienionych na początku feljetonu miłych laleczek (gdzie ich niema...) spotkać można w Rumunji zdolne prawniczki, lekarki (Trancu, Niculescu, Manicatide i in.) uczone (Maracineau autorka prac z zakresu fizyki) architektki (Jibory - laureatka wielu konkursów), rzeźbiarki (Patrascu), artystki malarki Stork, Iorga, Sterian. Na czele syndykatu artyst. dramatycznych stoi pani Maria Filotti, pani Voiculescu prowadziła przez lat wiele własny teatr, pani Sturdza Bulandra pospołu z mężem dyryguje głośnym teatrem w Bukareszcie, w literaturze zabłysły takie nazwiska, jak hr. de Noailles z domu księżniczka Brancoveanu, której antenanci rządzili Mołdawją, a która uważana jest przez Francuzów za czołową poetkę francuską, Helena Vacarescu jest przedstawicielką Rumunji w Instytucie współpracy intellektualnej w Genewie, ks. Bibesco, Radulescu, Stahl, Mantu, Casimir są autorkami poczytnych powieści. Trudno byłoby wyliczyć wszystkie nazwiska tych Rumunek, które dzięki talentowi i energji zajęły przodujące miejsca w życiu społecznem i kulturalnem swego narodu.

WIĘC CHYBA NIE ŚMIECH...

Ale emancypantka rumuńska tem się różni od legendarnej miss Pankhurst, iż nie zatraciła cech kobiecych. Ulubionym terenem jej działalności są placówki pedagogiczne i społeczne. Rumunka chce mieć możność rozwijania swych zdolności w tych dziedzinach, w których kobieta nie robi konkurencji mężczyźnie a gdzie mężczyzna nigdy nie dorówna kobiecie. Woli być pierwszorzędną nauczycielką, wychowawczynią, hafciarką lub pielęgniarką, niż marnym inżynierem. I dlatego zapewne feministki rumuńskie nie są — śmieszne.

my wyzyjewa z temy dziećmy? Jo już od rozumu odchodze.

Jasiek zobaczył łzy, płynące po matczynej twarzy.

— Juz jo nie póde do Kuchar, mamusiu, nie póde, bede warował przy bydle i nie pusce do škody...

Matka płakała coraz głośniej, jakby krzykiem chciała rozpędzić ten koszmar głodu, który zaglądał jej w oczy.

Gospodyni też zmarkotniała i zaczęła wyrzekać.

— Cy to było kiedy na świecie tyla bidy i tyla świństwa co dzisiaj? Toć o ten kawałek chleba, toby jeden drugiego zażer, pokalicuł, jak sialóny pies. Casem, to jaz człowiek zabluźni na to wsyćko, bo juz świnty cierzpliwości brok. Nie płacta, płaccem nic nie poredzi, a chłopaka mozeta tu ostawić. Po zniwach przyńdźta ze swojem, to was tam chtóru ćwartku poratuje.

— Bóg miłosierny pani wynadgrodzi, ino ze Jaśka, to mój pewno nie ostawi, bo mu żol dzieciaka.

Wycierała fartuchem oczy i uspokajała się potrochu. Gospodyni podniosła tobół z zielskiem i szła do chlewa.

Matka potem wlazła budzić ojca, a chłopak przyglądał się gospodarzowi, który, rozebrany do pasa, mył się przed sienią.

— Nu i co Jasiek? Pojadziewa chyba na jarmak. Pan przeda prosiaki, zapłaci za twoje pasenie i pódzies se z ojcamy.

Chłopak uśmiechnął się nieśmiało.

Gospodarz ubrał się ładniej, niż codzień, uczesał gładko włosy i poszedł na łąkę.

— A chocieno Jasiek, to sie przewiezies na kobyle!

Wróciwszy, chłop zaraz zakrzątnął się koło wozu. Zdjął z ogrodzenia furtkę, położył ją na deskach między zadniemi kłonicami, przybił i na końcu wozu powstał niski i ciasny kojec. Potem gospodyni wyniosła żarcie, podlane mlekiem i wypuściła z chlewa ośmioro małych prosiaków.

— Totygo wieprzka i totu świnke, to ostawiwa, Wacun, do chowu.

Gospodarz z jaśkowym ojcem podkradali się stylu, chwytali prosiaki za nogi i wśród ostrego kwiku wrzucali na wóz, pod furtkę. Jasiek śmiał się głośno.

— Słysys, synuś, jak maciora chrocha? Teraz toby człowieka w kawały poderła, zeby ju wypuścili.

— O dzieci?

— Nu, a o co?

Poszedł za matką do izby, gdzie gospodyni uszykowała śniadanie. Widział potem, jak wyjęła z szafki duży bochen chleba, torbę kaszy i razem z matką umieściła to na wozie. Po śniadaniu obie kobiety ogarnęły się i poszły naprzód.

Gospodarz wrzucił świniakom zielska i przykrył furtkę gałęziami, bo zapowiadał się niezgorszy upał.

Na pastwiskach dogonili matkę i gospodynię. Wszyscy wsiedli na wóz i Parzych popędził kobyłę kłusem. Wjechali między zboża. Sprzed jaśkowych oczu zniknęło bydło, chałupy, sady, tylko wysokie, strzeliste topole, stojące za wsią, przy figurze, sterczały w powietrzu, jak ogromne rózgi. Odwrócił się z ulgą.

Jechali potem przez długą wieś, przez pola i wreszcie wydostali się na szosę. Miasteczko leżało trochę wdole. Wysoki kościół panował okazałą budowlą nad skupiskiem dachów, które piętrzyły się wokoło kolorowemi płaszczyznami dachówek, papy, gontu i lśniącej blachy.

Szosą ciągnęło sporo fur i ludzi pieszych.

Gospodarz przystanął zaraz za mostem, koło cmentarza, gdzie był świński targ. Tłum chłopów i kobiet zalegał duży plac, ogrodzony drutem. Na wozach, pod wozami i po całym placu leżały zapasione świnie, czerwone z upału, zgotowane i dyszące ciężko. Rzeźnicy w wyświechtanych ubraniach kręcili się między trzodą i targowali. Upatrzoną sztukę przewracali na ziemię, wpierali laskę w ryj i szukali wągrów. Nieprzyjemny kwik wyrywał się w rozmaitych miejscach.

Gospodarz wyprzągł kobyłę, odwrócił ją łbem do wozu i podsunął naręcze trawy, żeby se podjadła.

Upał tymczasem rósł. Leniwy nastrój zapanował w mieście i puchł w coraz goretszym i jaskrawszym blasku. Ludzkie okrzyki i świński kwik brzmiały drażniąco, spazmatycznie, jakby przedzierały ciężką chmurę senności, wiszącą nad tłumem.

Chłopak opuścił się niżej, na dno wozu, oparł głowę o toczek i usnął.

Obudził się spocony i osłabiony słońcem.

Prosiaków już nie było na wozie. Gospodyni przyniosła cukier, naftę, warząchew i układała to w toczku, w trawie, której kobyła nie wyjadła doczysta. Potem rozdzieliła pomiędzy wszystkich pół białego chleba i spory kawał kiełbasy. Jasiek, jedząc, patrzył ciekawie, jak gospodarz z ojcem pili wódkę. Parzychowa odliczyła garść drobnych monet i uśmiechnęła się do Jaśka.

— Nu mas, trzymaj, to za twoje pasenie, zarobiułeś, to na!

Matka miała łzy w oczach.

— O mój robotnik kochany, tyla pijendzy my zarobiuł, jak prawdziwy ociec.

Odjechali. Rodzice z Jaśkiem ruszyli przez świński targ w stronę kucharskiej drogi.

— Nu to tak, jak mówilim?

— Nu tak, trza jakie buty złapać. Mas tu patyk na miare i nie doj wincy, jak dziesińć, abo dwanaście.

Wziął od żony torbę z kaszą, chleb i poszedł z Jaśkiem ulicą, wychodzącą w pole.

—Widzis tatusioju troche styd boso między ludźmy.

Jasiek popatrzył na ojcowe nogi, brudne i spękane.

— To poco tata nie wziun butów z dómu?

— Ba, nima w dómu, mój chłopce, poderły sie, jak tatuś sed z Francyi.

Ulica przy ostatnich domach zmieniała się w szeroką, bardzo piaszczystą drogę, która kawałek za miasteczkiem ginęła w ugorach i rozłaziła się mnóstwem wąskich, twardych ścieżek. Niedaleko kirkuta usiedli na trawie, plecami do słońca i czekali.

— Tato, a cy teraz bedzie u nas chlib, abo kartofle?

— Bedzie, tatuś nańdzie robotę, to zarobi.

Sidzieli może z godzinę, jedli chleb i rozmawiali.

Wreszcie pokazała się matka.

— Ni mogłam do mety dońść z temy przeklentnikamy, takie ścierwa łapcywe na ten pijundz. Obac no cy dobre.

— Cie choroba z jakemy wyrzynankamy, jak na wesiele.

Włożył buty, wstał i przeszedł się.

— Nu jakraz!

— To zdyjmaj i bedziewa śli. Na Jasiulek cukierków.

Chłopak zapomniał o Kucharach, za któremi tyle miesięcy płakał. Przez jego małe, siedmioletnie serce przewijała się inna radość, ważna, święta. Szedł dumny, wpatrzony w lśniące, strojne buty, które powstały z jego trudów. Ojciec nie będzie już chodził boso i wstydził się ludzi. Ciężka, pasturcza praca, wygnanie i łzy zakwitły szczęściem.